


1/762

Na ławce Nadwożańskiego Bulwaru  ARCHIWUM WSCHODNIE  
w drodze do Buzułuka

Wsunęliśmy się w kącik za drzwiami brudnej lecz ciepłej poczekalni dworcowej w nadziei, że może uda nam się trochę ogrzać i nieco odpocząć siedząc na podłodze. Niestety, niespodziewanie stanęła przed nami baba z olbrzymią szczotką do zamiatania i rozwarłszy buzię wezwała w sposób wielce nieuprzejmy lecz ważny - do opuszczenia poczekalni, bo tu niema miejsca dla "zulików" bez biletów. Żądanie poparła wymownym gestem rąk uzbrojonych w szczotkę. Wyszliśmy z poczekalni i stanęliśmy bezradni, nie wiedząc co począć; w podobny sposób ganiano już nas od dwóch dni. Dzień był ponury, zimny i wietrzny.

Wołga toczyła leniwie swe bure wody, nad nami wiąsało nisko niebo, zasnu-  
te ciężkimi, ołowianymi chmurami. Zaczął padać deszcz, który wkrótce  
zmienił się w duże, mokre płaty śniegu. Świat stał w ciszy i mroku jesien-  
nego dnia. Wiatr od rzeki przenikał do szpiku kości. Wolno rasmyślałam w  
stronę nadrzecznego bulwaru ociekającego wilgocią. Nogi niosły mnie z tru-  
dem, oczy zalepiał lepki śnieg, poprzez który dojrzałam ławkę, zwykłą ławkę  
jakie zazwyczaj stoją w parkach. Podeszłam do niej niemal radośnie,  
zgarnęłam śnieg, usiadłam. Drżałam z zimna, głodu i zmęczenia. Otuliłam  
się jak tylko mogłam płaszczem, podniosłam kołnierz, torbę położyłam pod  
głowę i ułożyłam się na ławce. Pierwsze uczucie to błogi odpoczynek. Ale  
już po chwili przejął mnie dotkliwy chłód drewna, wzmożony nielitościwym  
podmuchem wiatru. Kurczyłam się, obciągając kolana połami płaszcza; wtu-  
liłam łokcie w boki by możliwie najwięcej zatrzymać własnego ciepła. Zam-  
knęłam oczy. Było cicho, tylko wiatr gwizdał, a płaty śniegu bezszelest-  
nie kładły się na ziemię i otulały mnie chłodem. Myśl pracowała niestru-  
dzenie, gdyż przed nami była wielka, ciemna niewiadoma.

.....!

Jeszcze przed tygodniem byliśmy w lesie, gdzie od niespełna dwu lat pra-  
cowałam przy wyrębie. I przyszła radosna wieść: zwalniają nas! Tworzy się  
armia polska! O złoty, czarowny śnie nadziei! Rzeczywiście, zwolnili, pod-  
stawili pociągi, lecz w rękę dali skierowanie - "udosławierzenie" - tylko do  
nielicznych miejscowości, wskazanych przez władze. Czar prysnął. Nam śnił  
się jako cel wymarzony Buzułuk i polskie mundury, a tu? Skierowanie do  
Zielonodolska niedaleko Kazania. Osada, parę chałup i pusto ... Żadnych

możliwości życia, pracy, egzystencji. Podświadomie wyczuliśmy jakie motywy grały rolę w tym posunięciu władz: Nie znajdują pracy więc głód zmusi ich do zwrócenia się o pomoc i pracę - co w tym kraju jest równoznaczne z wyrażeniem woli na pozostanie.

W poczekalni dworca w Kazaniu złożyliśmy nasz mizerny dobytek, usiedliśmy obok, nie wiedząc co począć. W gromadzie zwolnionych było nas czworo trzymających się razem: Olek i Stefa, mój brat Miet i ja. Postanowiliśmy nie jechać do Zielonodolska lecz za wszelką cenę dostać się do wojska polskiego w Buzułuku. Podobno w Kujbyszewie jest polskie przedstawicielstwo, a więc tam należy dobrąć przede wszystkim. Tymczasem siedzimy w Kazaniu bez biletów i możliwości ich dostania bo do tego potrzebny jest paszport lub skierowanie. Sprawa beznadziejna. Poszłam na mia-sto, udało mi się sprzedać złoty zegarek szwajcarski, pieniądze były ale .... chleba nikt nie sprzeda komuś, kto nie ma prawa go kupić nie posiadając książeczki "zabornej" - książki pracy. Jakiś cudem udało się na podstawie "udosłowienia" dostać kwity na chleb na parę dni, więc chwilowo głód był zazegnany. Biegania i starania były bez skutku, wszędzie na-s zbywano i odsyłano do kogo innego. Tak minęło pięć dni. Na otrzymanie biletów i miejsc w pociągu rozwiały się .... Siedziałam na bagażu a Miet poszedł raz jeszcze po "obiecane" bilety, zaś Olek i Stenia do "stołowej". Wtem zobaczyłam tych ostatnich, biegnących ku mnie z rozjaśnionymi twarzami! "Jest barka z Polakami! Jada do Buzułuka, mogą nas zabrać". Chwytają za bagaże i wynoszą na przystań. Zatrzymałam Olka! "Miet poszedł po bilety, musimy poczekać". "O nim załadujemy on wróci". - Ani się obejrzałam gdy bagaż był nie tylko wyniesiony ale i załadowany. Stałam na brzegu z oczyma zwróconymi ku dworcowi. Z barki wyciągają się ku mnie ręce: "Wsiadać, wsiadać! Nie zwlekać!" Weszłam na barkę wciąż wypatrując brata. W pewnym momencie zauważyłam, że pas ciemniej wody między barką i brzegiem poszerza się. Przerazona zwróciłam się do kapitana aby poczekał, bo przecież nie wszyscy wsiedli. "Niania nie nużnu" padła chłodna odpowiedź. Barka szparko ruszyła z nurtem Wołgi. Stałam z oczyma wpatrzonymi w niknącą przystań z ciemną rozpaczą w sercu. Zostałam sama na nieludzkiej ziemi.

Wysiedliśmy w Kujbyszewie, gdzie postanowiłam czekać, bo dziwnie wierzyłam, że brat przyjedzie jednym z następnych statków. Ale kiedy i

jaki statek przyplynie - nikt nie wie. Od dwóch dni biegamy co parę godzin do przystani po wieści, by za każdym razem usłyszeć "Nie wiadomo - nie anonsowa-ny. A teraz leżę na ławce na bulwarach i już nawet sił nie mam by cokolwiek przedsięwziąć.

Ktoś dotknął mego ramienia. Stała przede mną Stenia: "Bój się Boga! Wstań zaraz i chodź, przecież gdyby cię tak zastał jakiś milicjant nie ocknę-łabyś się aż w łagrze". Wstałam ledwie i poszłam ku przystani. "Czy jest możliwość dostania się na przystań do poczekalni?" "Olek próbował ale go dyżurny wyrzucił". Zeszliśmy do tunelu, gdzie zimno było mniejsze i wiatr nie dokuczał. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tam możemy pozostać tylko parę chwil bez budzenia podejrzeń o włóczęgostwo i brak dokumentów. Przy przejściu do poczekalni pełnił służbę stary "diadia" /to jeszcze ktoś człowieczy-anizeli młodzi/. Podeszłam do niego z prośbą aby nas przepuścił, bo jesteśmy głodni i zmęczeni. Z przeciwnej strony nadchodził ktoś w mundurze, więc "diadia" warknął na mnie wrogo i zwrócił się do nadchodzącego. Po jego odejściu stary podszedł do mnie i szeptem spytał: "skolko was, troje?". "Tak uciekajcie" wskazał na schody i odwrócił się. Skinęłam na towarzyszy, podbiegli; biegiem przesadziliśmy schody i wpadliśmy do ogromnej, ciepłej poczekalni. Olek poszedł na zwiady i po jakimś czasie wrócił niosąc trzy "talony" na kolację. To już pewnego rodzaju legitymacja. Z jakąż rozkoszą jedliśmy wodnisty kapuśniak i popijali "kipiatok" - kelnerka, jakieś pocziwe stworzenie przyniosła nam trzy "talony" mówiąc "a zachadi z rana na śniadanie". Wróciliśmy do poczekalni, zaszyli się w najdalszy kąt i skuleni jak zwierzaki usnęli. Danym nam było spać do godz. 6ej rano, kiedy babsko z miotłą wyrzuciło nas z normalnym wrzaskiem.

Tego dnia po południu przyjechał Miet. Stosunkowo szybko dowiedział się gdzie jest "wojenna płoszczać" skąd odchodzi wieczór pociąg do Buzułuka. Znalazł woźnicę z wózkiem i konikiem, zapakowaliśmy nasze manele i wieczorem zmęczeni do ostateczności, bezsilni lecz radośni usnęliśmy na bagażu w ciemnym, bydłęcym wagonie. Rankiem w słonecznym blasku wysiedliśmy w Buzułuku. Brat pobiegł do miasteczka i wrócił z radosną nowiną "Jest armia polska - jesteśmy u celu!".

O jakież dobry jest Pa-n !

Inka

AWTORKA: KINGA LIGONSKA-ZIMMER-OCHOTNICZKA PSK (ZYCIORYS W ARCHIWUM)